

GUY DE MAUPASSANT

Oczekiwanie

GUY DE MAUPASSANT

Oczekiwanie

TLUM. ANONIMOWY

Rozmawialiśmy, paląc cygara po obiedzie. Rozmowa toczyła się o niespodziewanych spadkach, śmiesznych dziedzictwach.

Wówczas pan Brument, którego nazywano to świetnym mistrzem, — to świetnym adwokatem, przysiadł się u kominka.

— Ja właśnie — rzekł — poszukuję jednego dziedzica, który zniknął wśród wyjątkowo strasznych okoliczności. Jest w tem jeden z tych zwykłych a przykrych dramatów życia codziennego, wypadek, który zdarza się prawie codziennie, a który mimo to jest jednym z najbardziej przerażających, jakie kiedykolwiek znałem.

Otóż, tak się rzecz miała.

Pewnego razu zostałem przed około sześciu miesiącami wezwany do jednej umierającej.

— Pragnę panu — mówiła — dać jedno bardzo delikatne, trudne i długie zlecenie. Zechciej pan obznajomić się najpierw z postanowieniem mego testamentu, który leży tam na stole, przeznaczam w nim dla pana sumę pięciu tysięcy franków, jako honorarium — jeśli się panu nie uda ta sprawa, — zaś sumę stu tysięcy franków w razie powodzenia. Trzeba, żeby pan wyszukał syna mego po mej śmierci.

Poprosiła mnie, żebym jej pomógł usiąść na łóżku, iżby łatwiej było jej mówić, głos bowiem łamał się jej i świszczal w gardle.

Znajdowałem się w bardzo bogatym domu. Pokój był zbyt kownie urządony tym prostym zbytkiem, ściany były obite grubą materyą o łagodnym i miłym dla oka tonie, a słowa zdawały się wnikać w nie i ginąć bez odgłosu.

Umierająca zaczęła:

— Jesteś pan pierwszym, któremu powierzam tę straszną historię, będę się starała zebrać siły by ją panu opowiedzieć do końca. Trzeba żeby pan wszystko znał dokładnie, pan, o którym wiem, że jesteś człowiekiem światowym, ale i uczuciowym zarazem i jestem przekonana, że zechcesz z całą szczerością pomódz mi wedle sił swoich w tej sprawie.

Posłuchaj mnie pan zatem.

Przed moim małżeństwem, pokochałam jednego młodego człowieka, którego atoli odrzuciła moja rodzina, bo nie był dość bogaty. Wkrótce potem poślubiłam jednego bardzo bogatego mężczyznę, poślubiłam go przez nieświadomość — z obawy — przez posłuszeństwo, nawet przez niedbałość, ot, — jak wychodzą za mąż młode panny.

Miałam z nim dziecko, — syna. Mąż mój umarł po kilku latach. Ten zaś którego kochałam ożenił się także. Kiedy mnie zobaczył owdowiałą, cierpiał okrutnie — tem bardziej, że nie był już sam wolnym. Odwiedzał mię i płakał i skarżył się przedemną, — a mną targał ból. Został moim przyjacielem. Byłoby zapewne lepiej, gdybym go była wcale nie widziała i nie przyjmowała u siebie.

Co pan chce? Byłam samotna, tak smutna, tak samotna, tak zrozpaczona!... I kochałam go jeszcze. — Jak się to czasem cierpieć musi!

Nie miałam nikogo na świecie tylko jego, moi rodzice bowiem już nie żyli. On odwiedzał mnie często, całe wieczory spędzał ze mną. Nie powinnam mu była pozwalać przychodzić tak często, skoro był żonatym. — Nie miałam jednak siły przeszkodzić temu.

Cóż panu powiem?... Stał się moim kochankiem! — Jak się to stało? — Czy ja wiem sama? Czy to można wiedzieć?

Czy wierzy pan, że może być inaczej, gdy dwie ludzkie istoty pociąga do siebie ta siła nieodparta wzajemnej miłości? — Czy wierzy pan, że można ciągle walczyć, ciągle odmawiać tego, o co prosi, błaga ze łzami, słowy wzburzonymi, na kolanach, z namiętnym uniesieniem, człowiek, którego się ubóstwia, którego by się chciało widzieć szczęśliwym, którego by się chciało obsypać wszelkimi możliwymi radościami?... Czy można było się wyrzec tego ze względu na honor świata? Jakieżże siły by potrzeba, jakiegoż wyrzeczenia się i rezygnacji szczęścia, jakiegoż egoizmu uczciwości, nie prawdaż?...

W końcu zostałam jego kochanką i byłam szczęśliwą. Przez dwanaście lat trwało to szczęście. Zostałam również i to jest moją największą słabością, moim największym tchórzostwem, — przyjaciółką jego żony. Wychowywaliśmy razem mojego syna i zrobiliśmy z niego człowieka, inteligentnego, pełnego rozumu i silnej woli, o szerokim i szlachetnym umyśle. — Dziecię to skończyło lat siedmnaście.

Dziecię to, ten młody człowiek, kochał mego... mego kochanka prawie temsamem uczuciem jak i ja, oboje bowiem razem, jednakowo je kochaliśmy i pielęgowaliśmy. Nazywał go „dobry przyjacielu“, — i poważał go niezmiernie, otrzymując od niego zawsze wskazówki pełne mądrości, przykłady prawości, honoru i uczciwości. Uważał go i szanował jak starego, szlachetnego i pełnego poświęcenia towarzysza swej matki, jak pewnego rodzaju swego ojca moralnego, opiekuna i protektora.

Zapewne nie byłby nigdy o nic więcej pytał, przyzwyczajony widzieć od dzieciństwa tego człowieka w domu, przy mnie, przy nim, zajmującego się nami bez ustanku.

Jednego wieczora mieliśmy się spotkać wszyscy troje razem przy obiedzie (były to dla mnie największe uroczystości) a ja, czekając na nich obydwóch, mimowoli zadawałam sobie pytanie, który z nich pierwszy nadejdzie. Drzwi otworzyły się i wszedł mój stary przyjaciel. Wybiegłam naprzeciw niego z wyciągniętymi obiema rękoma, on zaś złożył na moich ustach długi pocałunek szczęścia.

Nagle, lekki hałas jakby szelest, jakby nic zresztą, jakby dziwne uczucie obecności kogoś więcej prócz nas dwojga w pokoju, wstrząsnął nami i spowodował że mimowoli oglądaliśmy się za siebie.

Mój syn, Jan, stał poblady, zdumiony i patrzył na nas.

Była to straszna chwila naszego szaleństwa. Ja, cofnęłam się, wyciągając ręce w stronę mego syna jakby błagalnie, lecz już go nie było — wyszedł...

Oboje staliśmy naprzeciw sobie, przerażeni, niezdolni przemówić ani słowa. Ja, rzuciłam się na fotel i miałam pragnienie, silne a niezrozumiałe pragnienie uciec gdzieś, zniknąć na zawsze. Później konwulsyjne łkanie szarpało mnie piersią i płakałam wstrząsana spazmami, z duszą rozdartą, z nerwami rozstrojonymi tym przerażającym wstydem, który spada na serce matki w chwilach podobnych.

Och, mój przyjaciel, stał przedemną równie przestraszony, nie śmiać ani zbliżyć się do mnie, ani przemówić, ani mnie dotknąć w obawie, że dziecko powróci. — Wreszcie przemówił:

— Pójdę, poszukam go... powiem mu... żeby zrozumiał... trzeba wreszcie, żeby go zobaczył. .. żeby się dowiedział...

I wyszedł.

— Czekałam... Czekałam... oszalała, drżąc najsłabszy szelest, targana obawą i dziwną trwożą na najsłabszy trzask ognia palącego się na kominku.

Czekałam jedną godzinę, dwie godziny, czując rosnącą w sercu moim nieznaną trwożę, takie przerażenie jakiegobym nie życzyła nikomu z najbardziej zbrodniczych ludzi. — Gdzie było moje dziecko? Co ono robiło?!

Około północy posłaniec przyniósł mi list od mego kochanka. — Umiem go jeszcze na pamięć.

— Czy syn pani powrócił? — Ja go nie odszukałam. Czekam na dole, nie chcę wchodzić o tak późnej godzinie.

Napisałam na tym samym kawałku papieru ołówkiem:

— Jan nie powrócił. — Trzeba, żebyś go pan znalazł.

Całą noc spędziłam na fotelu w oczekiwaniu. Dochodziłam już do szaleństwa, porywała mnie chęć krzyczeć, to znówu gdzieś biedz, lub tarzać się po ziemi. Nie poruszyłam się atoli nawet, czekałam i czekałam. — Co się stanie? — Chciałam odgadnąć, chciałam

się dowiedzieć... Nie byłam wstanie jednak nic przewidzieć, mimo szalonych wysiłków mej myśli i głębokiej męczarni duszy.

Obawiałam się teraz, ażeby się oni nie spotkali. Coby uczynili? Jakby postąpił mój syn. Straszne wątpliwości szarpały mną, dziwne przypuszczenia roily się w mej duszy.

Pokojówka moja, która nie wiedziała o niczym, przychodziła co chwilę i spoglądała na mnie, myśląc może, że oszalała. Odesłałam ją, nie mówiąc do niej ani słowa. Ona pobiegła po lekarza, który przyszedłszy zastał mnie wśród silnego ataku nerwów. Złożono mnie do łóżka. Wywiązało się u mnie zapalenie mózgu. Gdy po długiej chorobie odzyskałam przytomność, spostrzegłam przy moim łóżku mojego kochanka, samego... Poczęłam krzyknąć: Mój syn! — Gdzie jest mój syn?...

On nic nie odpowiadał. Ja pytałam dalej:

Nie żyje? — Nie żyje? Czy życie sobie odebrał?

On mi odpowiedział:

— Nie, nie, przysięgam ci. — Mimo wszelkich starań nie mogłem go odnaleźć.

Ja, zrozpaczona, oburzona tym niewytlómaczonym a nierozsądnym gniewem, zawołałam:

— Zabraniam ci powrócić, szukać sposobności zobaczenia ze mną, dopóki go nie odnajdziesz. Odejdź.

On wyszedł.

Od tego czasu nie zobaczyłam już więcej ani jednego, ani drugiego i żyję w ten sposób już lat dwadzieścia.

Wyobraź pan sobie i zrozum tę straszną karę, to ciągle a powolne rozdzieranie mojego serca matki, mojego serca kobiety, zrozum pan to okropne oczekiwanie bez końca... bez końca!...

Nie, skończy się. Bo umieram... Umieram bez zobaczenia jednego i drugiego. On, mój przyjaciel, pisywał do mnie codziennie przez te lat dwadzieścia, ja jednak ani na sekundę widzieć go nie chciałam, bo zdaje mi się, że gdyby powrócił, równocześnie z nim spostrzegłabym, zjawiającego się mojego syna. Mój syn! Mój syn! — Czy on żyje? Czy też już nie żyje... Gdzie się on podziewa. Może tam za wielkimi morzami w jakim tak dalekim kraju, którego mi nawet nazwa jest nieznaną.

Czy myśli on jeszcze kiedy o mnie? Och, gdyby on wiedział! Och, jak są dzieci okrutne! Czy on rozumie na jakie straszne cierpienie mnie skazał, na jakie tortury mnie wystawił, wówczas jeszcze młodą i życia pełną, aż do ostatnich dni moich, mnie, swoją matkę, która go tak kochałam, całą potęgą mego macierzyńskiego uczucia. Przecież to jest straszne.

Powiedz mu pan to wszystko. Powtórzysz mu pan moje te ostatnie słowa:

„Moje dziecię, moje drogie dziecię! bądź mniej surowym dla biednych istot. Życie samo jest już dość okrutnym i surowym. Moje drogie dziecię, pomyśl, jakie było życie twojej matki, twojej biednej matki od chwili kiedyś ty ją opuścił. Moje drogie dziecię, przebacź jej, kochaj ją teraz skoro już nie żyje, albowiem odcierpiała jedną z najbardziej strasznych kar”.

Dyszała drżąca, jak gdyby mówiła do swojego syna stojącego przed nią. Poczem dodała:

— Powiesz mu pan jeszcze, że nie widziałam tamtego...

Zamilkła na chwilę, wreszcie złamanym głosem rzekła:

— A teraz proszę pana zostaw mnie pan samą, chcę umierać samotną skoro ich niema koło mnie.

Pan Brument dodał:

— I wyszedłem moi panowie, płacząc jak dziecko, tak, że mój stangret ze zdziwieniem, oglądał się na mnie. A proszę panów wszak to codziennie naokoło nas zdarza się moc podobnych dramatów jak ten.

I nie odnalazłem syna... tego syna, którego ja, mówcie sobie co chcecie, — potępiam.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/oczekiwanie-maupassant>

Tekst opracowany na podstawie: Guy de Maupassant, Wybór pism. Ojciec Amable i inne nowele, tłum. anonimowy, księgarnia i drukarnia związkowa w Chrzanowie, Kraków-Warszawa 1914.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Benedict Benedict, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0522-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.